



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Sofia Kowerska.

DZIELNY CHŁOPIEC.

Marcin Kilowski był posługaczem kolejowym. Nosił na plecach ciężkie kufry i kosze, pomagał podróżnym przy wsiadaniu do wagonu i przy wysiadaniu, odbierał im z rąk torby i zawiniątka podróżne. Latem i zimą długie godziny przebywał na stacji kolei Nadwiślańskiej w Warszawie, ubrany w bluzę płócienną szafirową, gdy było gorąco, w szarą sukienką, gdy było zimno. Do domu zaglądał od czasu do czasu dla wypoczynku. Zjadał wtedy prędko przygotowany posiłek i z ciężkiem westchnieniem rzucał się na posłanie.

— Aa, przecie, że człowiek dopadł własnego łóżka! — mówił wtedy często, zmęczone członki przeciągając — spracuje się człowiek i na twardej ławie czasem się przedrzemie, to mu potem łóżko aż pachnie. Józik! zbudź mię o trzy kwadransy na piątą, żebym na czas doleciał na osobowy! Weź tam z kieszeni pieniądze, przelicz i schowaj!

Józik, syn Marcina miał lat dziewięć i prowadził u ojca całe gospodarstwo. Matki nie miał oddawna; babka, która go wychowała, umarła na tyfus, a on kupował mięso, chleb, mleko, węgle; nosił wodę, palił w piecyku i gotował; słał pościel ojcu, zamiatał izdebkę. Mała to była izdebka, w sute-renie, ale było w niej ciepło i czysto, trochę jednak wilgotno.

Tylko pranie to się jakoś Józikowi wcale nie udawało. Próbował kilka razy, ale koszule nie chciały po jego praniu być białe, a na szafirowej bluzie Marcina, gdy ją Józik wyprał, porobiły się żółte smugi. Przypatrywał się jak prała Piotrowa, sąsiadka, ale coś to pranie nie szło mu w ład, tak, że Marcin kładąc w niedzielę koszulę, ni to żółtą ni to szarą, powiedział:

— Juźci to prawda, że człowiekowi żona potrzebna najbardziej wedle opinie-runku, bo chłop zgotować potrafi, guzik przyszyć potrafi i zamiecie ci izbę jak najlepiej, ale pranie to mu się już nijak nie wiedzie!

— Ten węgiel co nim na kolei palą, strasznie wszystko smoli. Ani się doprac.

— Juźci sadza zawsze sadzą, jak chłop zawsze chłopem i trza będzie o praniu

z Piotrową pomówić. Niech ona nas opiera. Ty już tego nie zmożesz.

Gotował Józik bardzo dobrze. Juź i barszcz i kapu-śniak umiał tak utrafić, że Marcin aż się oblizywał, i kaszę, którą kilka razy przypalił nim mu się udała, teraz doskonale gotował na sypko ze skwarkami, tak jak ją Marcin lubił.

— Jak dorośniesz, to się zgodzisz za kucharza do kró-la — mówił Marcin — do tego czasu to i klusków nauczysz się gotować, bo żebyś jeszcze kluski umiał twardo zagniatać, toby nie trza nic lepszego.

Wiodło się niezłe Marciniowi. Gdy matka jego nieboszczki żony na tyfus umarła, myślał o żeniaczce przez czas jakiś i nawet sąsiadka radziła mu ożenić się z wdową, co miała bardzo dużo pościeli i sto rubli. Posyłał do niej raz w zwiady, gdy mu Józik na obiad dał kaszę zupełnie przypaloną i mięso niedogotowane, ale na drugi dzień i krupnik był doskonały i kapusta taka, że się odjeść nie było można, więc się Marci-nowi zrobiło żal dziecka. A nużby macocha była zła? A nuż-by broń Boże dziecko biła? Więc dał pokój żeniaczce. Pio-trowa koniecznie chciała go wyswatać, ale on wszystkie jej namowy puszczał mimo ucha.

— Żeby tak na dobrą trafić, to nie mówię — odpowiadał — ale kto tam wie, jaka się człowiekowi dostanie! Teraz mi przynajmniej nikt nad głową nie terkocze i nikt mi dziecka nie poniewiera. Bóg wie, jakby tam było!

— Strasznieście zmadrzeli, Marcinie — mawiała Piotrowa — to dziw, żeście się wychowali! Cóż to, syna myślicie na kucharkę kierować? Nie lepiejbyście go oddali do jakiego terminu? Cóż mu z tego przyjdzie, że będzie umiał obiad byle jak uwarzyć.

— O, tak ci ugotuje, że nie potrzeba lepszego!

— Bo się wam już język popsuł od złego jadła, to nie czujecie co dobre, a co złe. Mielibyście choć koszulę białą na niedzielę.

Ale Marcin miał już taką naturę, że im go kto więcej namawiał, tem on stawał się twardszy. Może byłby się i ożenił, żeby nie ciągle namowy Piotrowej.

— Chyba ona coś w tem ma! — myślał, kiwając głową i coraz bardziej miał się na baczności.

Marcin zarabiał nierówno. Czasem przynosił i dwa ruble na dzień, czasem i całego rubla z kieszeni nie wytrząsł, ale byłby z niego zamożny człowiek, gdyby nie ta nieszczęsna wódka. Lubił zaglądać czasem do kieliszka i do poduszki się zakrapiać. Nigdy mu się wprawdzie nie zdarzało być nieutrzeźwym na stacyi, ale starszy raz już na niego fuknął:

— Dwunasty! Coś od ciebie wódkę czuć!

Marcin nosił na ręku przepaskę z blachą, na której stał Nr. 12 i na czapce miał też mniejszą blaszkę z tym samym numerem.

— Pamiętaj — dodał starszy — że za pierwszym upiciem się, pójdiesz precz!

Więc Marcin strzegł się z całych sił, ale Józik musiał nieraz chodźć po wódkę dla niego, a raz gdy go o oznaczonej godzinie zbudził, Marcin zaczął tak bełkotać, że Józik już go nie otrzeźwił, tylko pobiegł na stacyę oznajmić, że Marcin chory. Drugi raz musiał mu głowę zlewać wodą a potem odprowadził go na stacyę, bo Marcin się trochę zataczał!

— Co mię ty będziesz pilnował, ty dzieciaku jakis! — mówił Marcin czupurnie, bo człowiek pijany zawsze szuka zaczepki.

— Oj tatusiu, bo wy się jeszcze gdzie przewrócicie!

— Cicho byś był! Ojca nie uczą, bo ojciec to ojciec! Rozumiesz? Cóż ty myślisz, że ja pijany? Ja choć i wódki parę kieliszków przełknę, to ci chodzę prosto, jak wagon po szyniel!

Mówiąc to, zatoczył się. Ale go jakoś świeże powietrze objęło i gdy przyszedł na stacyę, miał tylko oczy jakby mgłą przysłonięte, ale szedł prosto na ganek i zaraz z pierwszego, zajeżdżającego z miasta powozu, wyjął rzeczy, wysadził podróżnych i ogromny kufer sam poniósł na plecach.

Józik bywał czasem na stacyi. Ogromnie lubił patrzeć jak się tam aż roło od ludzi, jak leciał pociąg z lokomotywą na przodzie, z kitą dymu, którą ciągnął za sobą jak warkocz, a w nocy świecił czerwonymi latarniami, niby wilk ślepiami. Józik myślał sobie, że już nigdzie człowiek lepiej się nie zabawi niż na stacyi. Raz zapytał ojca:

— Tatusiu, ta sala, co w niej stoją stoły i ludzie czekają, to chyba największa na świecie.

— Są na świecie większe — odpowiedział Marcin — ale trza ich daleko szukać.

— Jak dorosnę, to i ja będę posługaczem na stacyi.

— A jabym chciał żebyś był szewcem. Przynajmniej się co noc wyśpisz, niedzielę i święta świętujesz, a roboty ci nie zabraknie, bo jak świat światem ludzie zawsze darli buty i zawsze je drzeć będą. Niema to jak być szewcem! Myślisz, że jabym na stacyi dźwigał pakunki, żeby nie to, że mi sieczkarnia palce obcięła, jakem był młodym chłopcem? Oho, aniby mię na stacyi ujrzeli! siedziałbym sobie z dratwą i szydłem, jak u Pana Boga za piecem! Pamiętaj sobie, co ci mówię, że szewctwo, to najlepsze rzemiosło!

W duchu zaś Marcin dodawał jeszcze:

— Zebym był szewcem, tobym nigdy o wódce nie pomyślał, bobym nie potrzebował po nocach pracować i prowadziłbym sobie życie spokojne i porządne. Ale jak się człowiek nigdy nie wyweczasuje jak się należy, to potem coś aż ciągnie do kieliszka i robak tak długo wierci, aż go musi zakropić! To jeszcze szczęście, że choć mi w głowie szmerze, to tego po mnie nikt nie pozna, tak wszystko każdemu rozkalkuluję jakbym był naczecz! Ale chłopaka oddam do szewca, żeby mu potem wódka tak całe życie nie pachniała jak mnie!

Józik przy robocie mało miał czasu na figle, na bieganie z chłopakami, ale czasem lubił sobie pograć w piłkę z synem Piotrowej, Walkiem, który był w równym z nim wieku.

Walek był to łobuz jakich mało. Po całych dniach nic nie robił, a gdy go Piotrowa wołała, żeby jej kartofle oskrobał, to się chował w jaką dziurę i matka znaleźć go nie mogła.

— A to skaranie Boże z tym chłopakiem! — mawiała — Marcinów Józik tylko o dwa miesiące starszy od tego zbereźnika, a już z niego cała gospodyni! Walek ladaco! Jeno mu zbytki i próżnowanie w głowie!

Walek często zachodził do Józika i zawsze chciałby go namówić na jaką swawolę. Palil papierosy i udawał, że mu okrutnie smakuja.

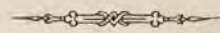
— Skądże ty masz pieniądze na papierosy? — zapytał go raz Józik.

— Aha! I tybyś tak samo mógł sobie zarobić!

— A jakże ty zarabiasz?

— Ja cię zaraz nauczę! Weźmiesz na siebie najgorszą czapczynę, najgorsze odzienie i pójdziez na Nowy Świat albo na Marszałkowską. Jak zobaczysz jaką porządną ubraną panią, to za nią idź i żalosnym głosem wołaj: „Litościwa osobo, już trzy dni nie jadłem! Matka sparaliżowana, ojciec pojechał do Ameryki.. Choć na kawałek chleba! Litościwa osobo! Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi!”

(d. c. n.)



RUTA

LEGENDA ŻMUDZKA.

„Matulu najdroższa! powiedzcie mi szczerze, Dla czego to ruta na wianki się bierze? Na ślubne wianuszki dla dziewcząt na skronie, Gdy idą przed ołtarz w weselnym druchu gronie?

„I krzyże przydrożne dłoń zacna i tkliwa
Też ruty gałązką umaja, pokrywa,
I każda duszyczka pobożna w niedzielę
Ma w ręku rucianą wiązaną w kościele?

"I jeszcze matulu! Jak umrze ktoś mały,
To rutą pokryją trumienki wierzech cały.
I kwiatki jej złote i listki zielone
Na grobach mogiłnych drżą, wiatrem pieszczone?"

Dla czego matulu, to ziele tak drobne
Jest miłsze nad kwiaty wspaniałe, ozdobne?
Dla czego i ludzie i Pan Bóg je ceni,
Choć skromnie się po wsiach w ogródkach zieleni?"

— Oj! moja dziecinko! już dawno to było!
Gdy Matce Najświętszej Dzieciątko przybyło,
A święta Panienska w stajence, w pokorze,
Złożyła do żłobka maleństwo to Boże,

Dzieciątko najświętsze na twardem posłaniu
Leżało — nim słonko nie weszło w zaraniu;
Bo sianka niewiele już było w stajence,
I żal ścisnął serce Najświętszej Paniencie.

Więc poszła wśród rosy przed siebie po łanie,
By zebrać traw wiązkę na miększe posłanie,
Wiadomo, jak matka dla dziecka swojego,
Nie szczędząc ni trudu, ni potu własnego.

Aż słyszy rozmowę wśród kwiatów na łące:
— Oj! dobrze to rosnać, gdy słonko wschodzące
Tak pieści nas mile, gdy poi nas rosa,
I patrzeć możemy w błękitne niebiosy!

Najświętsza Panienska, stanęła i słucha!
A skromny głos ruty Jej dobiegł do ucha:
„Wesoło jest rosnać, i kwitnąć wesoło,
Z innemi kwiatkami zabawiać się w koło.

„Lecz jabym wołała, dla kogoś żyć jeszcze,
Dla kogoś przenosić upały i deszcze,
I kwiatki i listki przytulać w pokorze
Do tego co drogie, co święte, co Boże.”

Więc Matka Najświętsza ze łzami jasnemi
Objęła krzak ruty rękami własnemi;
W gałązki jej miękkie ubrała się cała
I Swemu Dzieciątku na pościel je dała.

I odtąd u ludzi jest ruta ceniona,
I zimą pod śniegiem trwa często zielona,
Bo dzieląc z innemi radeści i bole
Pod Bożą opieką, najlepszą ma dolę.

Ludwika Życka.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

P. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

Weszła też i pani kasztelanowa z Jadwisią, niosąc rozmaite leki, zlaną mu głowę wonnym octem umyślnie dla chorych w apteczce przechowywanym, — rozcierano ręce i nogi, Kazik wprawdzie zaczął dawać znaki życia, oczu jednak nie otwierał, a głowa bezwładnie opadała na podłożoną poduszkę.

— Małmazyl! — zawołał kasztelan. W tej chwili pan Ignacy zjawił się z dobrze omszłą butelką; kasztelan wziąłszy kubek napełniony ciemno-złotym płynem, usiłował przez

zaciśnięte usta wlać bezprzytomnego młodzieńca kilka kropli. Lecz próżne były usiłowania, wino około ust splywało napełniając komnatę szlachetną wonią, nie spełniało jednak swego zadania.

W tem Anusia pochwyliła go za nos i tak mocno ścisnęła drobnymi swemi paluszkami, że usta otworzył, i płyn dostał się do gardła.

Po chwili młodzieniec wstrząsnął się cały, otworzył oczy, spojrzął do koła i chciał się zerwać, lecz siły mu nie dopisały, a kasztelan przytrzymał go z ojcowską troskliwością.

— Co się to znaczy? co się stało! — zawołał chłopiec dość silnym głosem, przypatrując się całemu otoczeniu.

— Aha, a widzisz, nie chciałeś pić wina, a ja ci ścisnęłam nos, tak jak mnie mama ścisnęła kiedy nie chciałam pić leków; — zaśmiała się Anusia.

Odezwanie się dziewczynki wywołało mimowolny uśmiech na wszystkich twarzach, tylko Jadwisia szepnęła:

— Kazik nie najadł się słodyczy i pierogów, żebyś go tak samo leczyła, jak mama ciebie!

Nikt wszakże nie zwrócił uwagi na słowa starszej kasztelaniki, tak wszyscy byli zajęci leżącym. Ten połknawszy drugą raz wina siadł i zupełnie silnym zapytał głosem:

— Przecież nie spadłem z konia, cóż się ze mną stało?

— Wysiłeś się zanadto i omdlałeś ze znużenia, — rzekł kasztelan.

— Nic ci nie będzie, a kasztanek twój, — dodał z uśmiechem.

— Stryju mój i opiekunie, co, kasztanek mój? — zawołał Kazik — nie dowierzając szczęściu, jakie go spotkało. I uradowany tak hojnym podarunkiem, chciał się rzucić do nóg kasztelanowi, lecz ten go powstrzymał, i rzekł:

— Twój, twój, chłopaku, zasłużyłeś na niego, dzielnieś go zażył. Ale teraz wypocznij, bo o świtanu czeka cię podróż.

— Co, jutro już? — zawołała Anusia i skrzywiła buzię do płaczu.

— Miał jechać z nami? — pytała Jadwisia.

— Anusiu! — zawołała matka, spojrzawszy dość surowo na swoją najmłodszą.

Dziewczynka przybiegła i utuliwszy główkę na matki łonie, rozplakała się na dobre.

— Moja kochana Anusiu, pocziwe obie moje małe siostrzyczki, rzekł Kazik — zwracając wzrok ku nim.

Pani kasztelanowa zaś rzekła:

— Nie przeszkadzajmy Kazikowi, niech teraz zaśnie. Dzieweczki, pomóżcie mi zabrać leki, pójdziemy do waszej świetlicy — dodała.

Kazik zaś wstał o własnej sile i chociaż chwiał się jeszcze na nogach, poszedł do swojej izdebki, gdzie wysmarowany niedźwiedziem sadłem i napojony raz jeszcze winem, zasnął snem twardym, który po nadzwyczajnym wysiłku stał się dla niego zbawiennym.

Teraz dopiero wieść się rozniosła o wielkiej dzielności Kazika i ujarzmieniu dzikiego kasztana, którego dotąd każdy usiłował dosiąść, lecz nikomu się nie udało. Wszyscy podziwiali odwagę i zręczność młodzieńca, a najstarsi wojacy i znani śmiałkowie mówili:

— To ci gołowas, nie jednego starego nietylko siłą ale i dowcipem pokona!

— Ba i do wysokich godności dojdzie — rzekł Basaty; — żeby się prędko jeno wylizał, bo gotowi i mnie i jego odprawić, — dodał.

— Żeby mu jeno dwór zbytńio w głowie nie zawrócił — ozwał się pan Orba.

— Phii, mój jegomość, dobra to krew, a w uczciwości szlacheckiej wychowany, to jakoś tam rozpozna jaka dlań ścieżka i Bóg da, darmożjadem nie będzie, rzekł pan Ignacy, spoglądając z pod oka na Orbę, któremu zarzucano, iż lubił patrzeć, gdzie się z komina kurzy.

Lecz Orba nie wziął jakoś przymówki do serca, a pan Sulpicyusz słuchający z upodobaniem pochwał dla swego ulubieńca, rzekł zacierając ręce:

— Moi mości panowie, kogo Bóg obdarzył takim talentem, że rozmaite uczucia w muzyce wypowiada, a głosy przyrody rozumie, to go i dalej w Swej łasce promować będzie, żeby ducha braci swoich ku Wszechmocnemu wznosił.

Tymczasem Anusia zawsze dotąd wesoła, posmutniała a nawet robota jej jakoś nie szła, coraz to zgubiła oczko, w pończoszcze, którą dotąd ku uciesze ochmistrzyni bardzo ładnie i równo robiła. Za najmniejszą też przestrogą łyż stawały jej w oczach i jak kuropatwa tuliła główkę na łonie matki, lub pani Antoniowej.

— Co jej jest, czy aby nie chora? — mówiła matka przypatrując się troskliwie najmłodszej córeczce.

— Eh, nie matulku, jej tak żal Kazika, — ozwała się Jadwisia.

— I mnie go żal, że sobie kości trochę natrzęsnał, — ozwała się matka — aleć to taka dola chłopców, wcześniej muszą się na niebezpieczeństwa narażać, boć im nie sądzono doma siedzieć. Zresztą nie bój się, nic mu nie będzie, wyśpi się i będzie mógł jutro a najdalej pojutrze jechać.



Nurek przybrany w skafandrze i hełm.

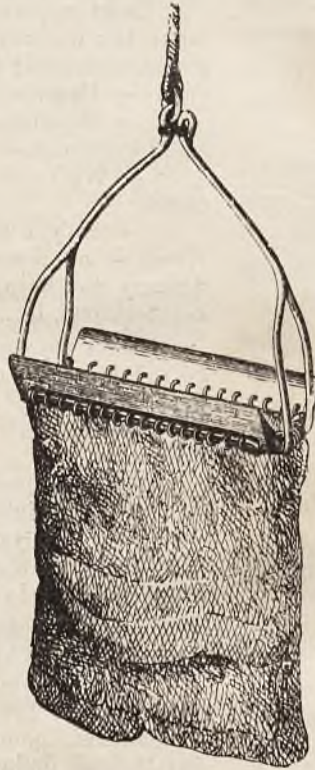


Fig. 115. Sieć (draga) do łowienia zwierząt głębinowych.



Fig. 116. Sieć opatrzona pękami pakul.

Anusia wybuchnęła płaczem i skryła po swojemu główkę w fałdy matczynej sukni.

— Ona tego płacze, że Kazik od nas odjeżdża, — rzekła Jadwisia i również się zasmuciła.

Toć to dla niego szczęście i wielka promocya, perswadowała matka.

— I tak byłby razem z braćmy do szkół poszedł, lub może i zagranicę na naukę, — dodała kasztelanowa.

— To byłby razem z braćmi ze szkół powrócił, a tak... — rzekła Anusia wychylając główkę z za sukni matczynej.

— Ale będzie zawsze z królewiczem, — pocieszała ją siostra.

— I was oddam na dwór królowej, — zażartowała matka.

— Matusiu, matusiu, nie oddawaj nas, nie oddawaj, — zawołały obie dziewczynki, obejmując matkę.

— Ja nawet wolałabym i Krakowa nie widzieć, tylko zawsze być z matusią — zawołała Anusia.

Lecz Jadwisia zmiarkowała wkrótce, że to był żart tylko, uśmiechnęła się więc i całując rękę matki, rzekła:

— Jak jegomość i jejność dobrodziejka każą, tak się stanie.

Kasztelanowa uśmiechnęła się i szepnęła mężowi, który wszedł właśnie do komnaty.

— To już niejako odpowiedzieć, w razie gdy nam się pokłonią!

— Zawczasie, moja panno, zawczasie — odrzekł kasztelan, uśmiechając się jednakże.

I zaraz dodał:

— Moja panno, trzeba mieć wszystko gotowe, bo z Kazikiem wyśle się część wozów, a my najdalej za tydzień wyruszyć musimy.

I jako rzekł tak się i stało.

Kazik wypawszy się był zdrów i na trzeci dzień zupełnie gotów do podróży; lecz mimo, że wkrótce miały go obaczyć nietylko kasztelanek, ale i cały dwór żegnał go ze łzami. W tydzień zaś zamek zakroczymski opustoszał zupełnie, kasztelan bowiem z całą rodziną, panią Antoniową i licznym dworem, wyjechał do Krakowa. Zabrał nawet kapelę z panem Sulpicyuszem na czele, pozostał tylko pan Ignacy, aby na wszelki wypadek strzedz zamku i całego dobra pańskiego.

VIII.

Koronacya małoletniego króla miała się odbyć z różną zupełnie od poprzednich wspaniałością.

— Król ledwie odrósł od ziemi, trzeba żeby i dwór jego i całe otoczenie przy koronacyi było do niego podobne — rzekł ojciec.

— Jak wola waszej królewskiej mości, aleć jeżeli mu da... z samych rówieśników otoczenie, będzie to wyglądało

na żart raczej, niż na uroczystość poważną, jaką jest koronacja — ozwał się Jan Tarnowski, zastanawiając się nad każdym wyrazem, jak to miał we zwyczaju.

Król wzruszył ramionami, poprawił prawą ręką czapkę szytą we wzory, którą zwykle nosił w domu i rzekł:

— Do rady mężowie dojrzali, do zabawy dzieci.

Po chwili zaś dorzucił:

— Na pierwszą wojnę jaka wypadnie, niech idzie z wami — dodał król po chwili.

— Nie udobruchało to jednak hetmana, wyszedł dość ponury i długo nie mógł się uspokoić; biskupi i panowie radni również nie byli zadowoleni z tego otoczenia, jakiego król żądał, powtarzając sobie poufnie.

— Wpływ Włoszki!

— Tak! wpływ Włoszki!

— Papinkę z niego zrobią.

— Babę do kądzeli!

— Ba, żebyć do kądzeli!

— Nie takiego nam króla trzeba.

— Nie takiego!

Głosy te jednak nie powstrzymały rozkazu królewskiego a raczej Bony, która, chcąc pochwycić szlachę, kazała rozesłać zaproszenie, by z dziećmi na uroczystość koronacji przybyli. Nienawidząc też z duszy wszystkich panów radnych, którzy na zniewieściale wychowanie królewicza sarkali i nie szli z nią ręką w rękę, chciała im zrobić na złość wymyślonym przez siebie korowodem.

— Będiesz miał swoich rówieśników, będziesz miał z kim się bawić — mówiła do syna.

— Będzie i Jadwisia i Anusia? — pytał królewicz.

— Co za Jadwisia i Anusia? — spytała matka, zapomniawszy o zrobionej znajomości w ostatniej podróży.

— Kasztelanki zakroczymskie, od których dostałem pierniczki.

— Będą, będą! — odrzekła Bona, marszcząc brwi niechętnie.

— I Marcin, i Jędrus i Piotrusz!

— A czyż ja tam znam imiona wszystkich zaproszonych — zawołała matka coraz więcej niezadowolona z pytań syna.

Lecz królewicz nie dał za wygraną i zapytał:

— Ale Niedźwiedź będzie blisko mnie, wszak prawda?

— Idź sobie, kością w gardle stoją mi już ci twoi znajomi z ostatniej podróży! wszyscy tutaj jak niedźwiedzie, i ten twój Opaliński i...

Ale Zygmunt nie dał dokończyć i zaczerwieniwszy się zawołał:

— Pan Opaliński jest moim nauczycielem!

I odwróciwszy się, wyszedł z wielką powagą, udając ruchy i chód ojca!

Bona zerwała się z siedzenia, a pochwyciwszy młotek, którym zwykle dzwoniła w kowadłko, rzuciła nim za synem, wołając w rodowitym swym języku:

— Ach ty, jaszczurko! i to mój syn! mój syn, dla którego ja pracuję! zniechęcają go do mnie, każą by mną powiewierał! Oho, ale dam ja wam wszystkim!

Szczęściem, że nikt tego krzyku i pogróżki nie słyszał, a rzucony młotek nie trafił w odchodzącego spiesznie królewicza, tylko z głuchym jękiem padł na marmurową posadzkę.

Gdy królowa zdyszana i ziejąca gniewem na swoim miejscu usiadła, z za opony okrywającej stół, wysunął się Diavolo, podniósł młotek i skradając się pocichu jak kot, położył go na stole.

— Czemuś go nie zatrzymał? — wrzasnęła królowa.

— Podniosłem? — odrzekł, wyszczerzając swe duże, żółte zęby.

Karzeł udając, że nie rozumie o co chodzi, pokazał młotek.

— Głupiś!

Karzeł skłonił się do ziemi.

— Gdzieś był?

— W mojej komnacie! I wskazał pod stół.

— Coś robił?

— Najjaśniejsza pani, matre mia, przebacz, zdrzemnąłem się! — rzekł, trąc oczy i krzywiąc się do płaczu.

Bona pogroziła mu pięścią, lecz śnać pociesza a zarazem skruszona mina ulubieńca rozbroiła gniew jej i wzburzenie, bo cofnęła rękę a wielkie uszy Diavola nie uczuły jej na sobie. Spojrzała tylko badawczo i spytała:

— Niceś nie słyszał?

— Ach, matre mia, bardzom zawinił, ale takem twardo zasnął, żem nie nie słyszał — odrzekł karzeł.

I przykląkszy pokornie, pocałował kraj szaty swej pani.

— Precz! — zawołała Bona.

Diavolo uszczęśliwiony, że tak zręcznie się wykreślił, wsunął się co tchu pod wielką oponę, nie zapomniawszy jednak zostawić sobie maleńkiego otworu, przez który nietylko słyszał, lecz i widział doskonale.

Tymczasem, mimo coraz to nowych rozkazów królowej i mimo pozornego posłuszeństwa w wykonywaniu jej rozkazów, przygotowania do koronacji młodzieńczego Zygmunta szły według nakreślonego przez biskupów i panów radnych planu.

(d. c. n.)



Fig. 114. Połów czerwonego koralu w morzu Śródziemnem.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Dragowanie.

Zanim uczeni badacze zaczęli faunę głębinową, to już niektóre zwierzęta, żyjące na dnie morskiem znane były rybakom od najdawniejszych czasów.

Starożytni ludy zajmowały się połowem gąbek, perł Rovala, ostryg i wynalazły sposoby łowienia tych zwierząt. Powyższe sposoby uczeni udoskonalili i zużytkowali następnie w celach naukowych.

Naprostszy i najpierwotniejszy sposób zdobywania skarbów, ukrytych na dnie morza, polegał na tem, że nurek wska kiwał do wody i odrywał przyrośnięte do dna zwierzęta. Ów barbarzyński sposób i dotąd jest w użyciu. Tak odbywa się jeszcze połów gąbek. Od brzegów Syrii, Archipelagu i morza Czerwonego aż do wybrzeży Meksyku łowienie gąbek powierzają zręcznym nurkom. Spuszczają się oni na dno morskie i nożami odcinają gąbki od skał. Niekiedy plon bywa świetny, kiedy nurkowie zagłębiają się na 20, 30 i nawet 40 metrów, gdyż najpiękniejsze gąbki rosną głęboko.

Nurkowie również zajmują się łowieniem perłopławu perłorodnego, koło wyspy Ceylonu, na wybrzeżach Arabii, południowej Ameryki i Nowej Kaledonii. Nieszczęśliwi ci zostają pod wodą 25 do 30 sekund, narażeni na drapieżność rekinów, a za ciężkie swe rzemiosło pobierają nędzną zapłatę: po trzy grosze za sztukę mięczaka. To też liczba nurków wciąż się zmniejsza. Barbarzyński ten połów usiłują zastąpić dragowaniem.

Istnieje wprawdzie *skafandra*, za pomocą której każdy może spuścić się na dno morza i długo pozostawać pod wodą. Ale największa głębokość, do jakiej można zejść tym sposobem, dochodzi jedynie do 50 metrów, to jest niewiele przewyższa głębokość, do jakiej schodzą zwyczajni nurkowie. Skafandra jestto gumowe nieprzemakalne ubranie, które nurek na się wkłada. Głowę zaś jego pokrywa metalowy hełm, opatrzone przed oczami okienkiem z grubego szkła. Skafandra jest zaopatrzona w długą rurą gumową, przez którą wciąż napompowują powietrze, aby nurek miał czem oddychać.

Specyalne sieci czyli *dragi* były najpierw wynalezione do łowienia ostryg. Połów ten na wybrzeżach Francji odbywa się za pośrednictwem małej floty, składającej się ze trzydziestu lub więcej łodzi, znajdujących się pod dozorem państwowego kontrolera. Każda łódź posiada cztery do pięciu sieci. Sieć na ostrygi ma kształt worka, przymocowanego do żelaznej ramy czworobocznej. Do jednego z boków owej ramy przyśrubowany jest ciężki żelazny nóż, (czyli skrobaczka) mająca metr długości. Sieć zarzucają na dno, przywiązawszy ją poprzednio za pomocą sznura do łodzi.

Gdy łódź jest w biegu, to ostry nóż skrobie dno morskie i odrywa ostrygi, które wpadają do sieci. Gdy ostrygarze miarkują, że worek już się napełnił, wówczas sieć wyciągają a ostrygi przenoszą do *parków*, gdzie je tuczą, przez co nadają im smak wyborny.

Zupełnie odmienne przyrządy używane są dla połowu koralu. Koral czerwony żyje zwykle na głębokości 100 do 150 metrów, a rośnie wyłącznie na skalistym dnie, gdyż tam jedynie znajduje dla siebie mocne oparcie; a ponieważ unika światła, kryje się przeto zwykle w szparach skalnych. Przy takich warunkach nie ma co nawet myśleć o użyciu *dragi* zwyczajnej. Dla tego też koralownicy wynaleźli specyalne przyrządy, które uczeni zastosowali następnie w celach naukowych.

Ow przyrząd składa się z drewnianego, albo żelaznego krzyża, na ramionach którego zawieszają sieci. Ciężki kamień przywiązany do środka krzyża ułatwia zanurzenie się jego w morzu. Sieci na koralu wyrabiane umyślnie, wiązane są ze sznurów zaledwo skręconych! Są one pozawieszane na ramionach krzyża w ilości 30 i więcej sztuk. Gdy przyrząd

ten zanurza się w wodzie (ryc. 114) to sieci rozplywają się na wszystkie strony niby mnóstwo ramion, sznury zaledwo skręcone zaczepiają się o wszelkie nierówności skał, a wszelkie chropowatości koralu napotykanego po drodze; sieci zachodzą nawet aż do szpar skalnych. Tym sposobem łamią one i odrywają cenne gałązki koralu, który trzyma się w fałdach sieci. Ciężka to następnie praca wyciąganie sieci pozawieszanych o skały, ale owa praca dostarcza znaczne zyski.

Sieć przynosi w pakulach uwięzione nie tylko koralu, ale i mnóstwo innych zwierząt morskich, z czego, jak wkrótce zobaczymy uczeni skorzystać nie omieszkali.

Sieć czyli *draga* używana do łowienia zwierząt w wielkich głębinach morskich (ryc. 115) podobną jest do sieci na ostrygi, z tą różnicą jedynie, że opatrzona jest nie jednym lecz dwoma nożami, przeznaczonemi do skrobienia dna morskiego, może ona zatem zbierać zwierzęta niezależnie od tego, na który z dwóch boków upadnie.

Abym zapobiedz rozdzieraniu delikatnej sieci zwykle okrywa ją na zewnątrz skórzany worek. W dzisiejszym czasie, niezbędnym dodatkiem do dragi są prócz tego pęki pakul (zwane po francuzku *fauberts*), do których jak do włosów przyczepia się mnóstwo zwierząt morskich (patrz ryc. 116). Zdarza się często, iż owe pęki przynoszą obfitszy plon, niż sama sieć.

(d. c. n.)

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dokończenie).

Zbliżywszy się do dworu, dzieci doznały miłej niespodzianki. Oto na trawniku pod lasem ułożone na koziołkach deski utworzyły długie stoły, a obok nich w ten sam sposób urządzone siedzenia. Na stołach zaś stały kosze z krajany m chlebem i dzieżki mleka kwaśnego: był to podwieczorek przygotowany dla pracowitej gromadki. Działwa zasiadła, a panie rozdzielały mleko i chleb, pilnując, aby wszyscy byli równo obdzieleni i pomieszczeni wygodnie. Nic nie brakowało do uczyły nawet muzyki, którą stanowiły chóry żab z pobliskiego stawu.

Nazajutrz bez przypomnienia jakiegokolwiek zebrały się dzieci o oznaczonej godzinie w około werendy; każde z nich wyglądało z niecierpliwością, aby upał minął, i żeby można już wyruszyć na sypanie kopca. Janek Skalski zajął się przygotowaniem butelki i blaszanej puszki, w którą butelka jeszcze włożoną być miała, aby lepiej zabezpieczyć dokument. Jakoż skoro się wszyscy zgromadzili, tak jak dnia poprzedniego, stawił się i Zygmunt z pięknym wykaligrafowanym aktem, i głosem uroczystym odczytał:

„My, niżej podpisani, zaświadczamy iż pod przewodnictwem wielmożnego Jana Skalskiego, byłego oficera wojsk z kampanii węgierskiej, dokonaliśmy własnoręcznie dzieła zadrzewienia piasków, na całej przestrzeni kilku wiorstowej, od zakrzewskiego młyna włącznie, do granicy pól osowieckich, co stwierdzamy i umacniamy własnoręcznymi podpisami.”

To wygłosiwszy autor dokumentu powiódł wzrokiem po obecnych, ale słuchacze mieli jakieś niepewne miny i oczy trzymali spuszczone w ziemię. Dziadunio zaś począł się śmiać tak serdecznie, że aż okulary trzęsły się na jego nosie.

— Ach, mój rejencie, mój kochany rejencie! — zawołał wśród śmiechu — skądże ci przyszedł na pamięć wielmożny oficer, a zapomniałeś o wielmożnym robotniku i ogrodniku? Nie, nie, kochany rejencie, opuść-no te wszystkie wielmożności; niech sosny w lesie szumią sobie kiedyś poprostu: „sadzili nas dziadunio Zosi, Janka i Stasia.”

— Dziadunio! dziadunio, kochany dziadunio! — wykrzyknęła cała młodzież dokoła.

— Dajcie-no pióra i atramentu, my tu zaraz zredagujemy akt, jakiego nam potrzeba.

Na to wezwanie skoczył coprędzej Staś z Jankiem, jeden przyniósł papier i odpowiednie przybory do pisania, drugi nieduży stoliczek, i akt w jednej chwili napisany został:

„My wszyscy, którzy się tutaj podpisujemy, zasialiśmy ten las własnymi rękami, pod przewodnictwem dziadunia Zosi, Stasia i Janka Skalskich”. Umieściwszy jeszcze datę, podpisał się dziadunio pierwszy a potem wszyscy z kolei, odpowiednio do wieku: starsi pierwsi, młodszy za nimi. Imiona tych dzieci, które, jak Basia, nie umiały jeszcze pisać, podpisywało jedno ze starszych. W pół godziny wszystko było gotowe i butelka włożona do puszeki.

— A kto będzie niósł puszkę? — zapytał ktoś z gromadki.

— Hm — odrzekł dziadunio poważnie — jest to rzecz, nad którą zastanowić się należy, bo przecież tam spoczywa dokument, dotyczący się nas wszystkich, Prawda?

— Prawda! — potwierdziły dzieci.

— Zatem jest to coś, co zasługuje na wielkie uznanie.

— A pewno!

— Więc wybierzcie z pomiędzy siebie nagodniejszego, bez względu czy to panienka, czy chłopiec.

— Najgodniejszego? najgodniejszego? — zaczęto powtarzać. Młodzież spoglądała po sobie, jakby radząc się wzajemnie oczami. Nieodstępna towarzyszka Ludwini, dziewczynka w żałobie, wodziła dokoła wzrok wymowny, pełen niepokojem, którym zdawała się mówić: No, jakże? nie wiecie kto tu jest najgodniejszy ach! niedomyślni! Nagle ktoś zawołał: Ludwinia!

— Tak, panna Ludwinia! — ozwał się równocześnie głos inny.

— Tak, tak — zaczęto wołać jednogłośnie — Ludwinia! Ludwinia, panna Ludwinia!

A Ludwinia zapłoniona jak różyczka, zawstydzona, przestraszona nieledwie, broniła się powtarzając:

— Ale dla czego... Ale skądże znowu?...

— Ludwinia! Ludwinia! panna Ludwinia! — nie ustawało wołanie.

Staś i Henryk wręczyli Ludwini puszkę, którą musiała przyjąć i wystąpić obok staruszka, prowadząc całą gromadkę.

Za przybyciem na pole pracy, wszystko odbyło się tak, jak uprzedził dziadunio. Puszkę umieszczono w stosownym miejscu, poczem usypano kopiec wysoki; każde, choćby najmniejsze z dzieci, rzuciło swoją grudkę ziemi, chłopcy zaś napracowali się rzeczywiście, aby wznieść, ubić i wygładzić prawdziwą górę z piasku. Ale też już z daleka kopiec świecił się wspaniale, a obsypany zwirem i drobnymi kamykami, wyglądał na wcale pokaźne dzieło rąk ludzkich. Chłopcy byli pełni dumy, a dziewczynki nie czuły się wcale mniej zadowolone, bo któż jeśli nie one nosiły piasek, zwir i kamyki.

— Wiwat! — krzyknął Janek, gdy wszystko było ukończone.

— Wiwat! — wykrzyknęli chłopcy, wyrzucając w górę czapki i kapelusze.

Dziewczynki się śmiały i klaskały w ręce.

X.

Wyjątek z listu Izi do Joasi Mirskiej:

„Nie poznaję cię, kochana Joasiu, i wyznam szczerze, że słowa listów twoich stają się dla mnie zupełną zagadką.

Milczysz przez kilka tygodni, w końcu odbieram od ciebie list, w którym mi piszesz, że nie masz czasu, że zajęta jesteś od rana do nocy, i że gdyby nie tęsknota za ojcem, pragnęłabyś, aby twój pobyt w Polance przedłużył się do nieskończoności.

Gdy porównywanam to, coś mi pisała w pierwszych twoich listach, z tem, co mówisz obecnie, doznaję wrażenia, jakby zupełnie dwie odmienne osoby prowadziły ze mną korespondencję.”

Odpowiedź Joasi do Izi:

„Masz rację, kochana Iziu, gdy utrzymujesz, że to kto inny pisze teraz do ciebie.

Tak jest, sama to czuję, nie jestem już tą dawną próżną, samolubną dziewczynką, która żyła tak jak roślina lub zwierzątko, tylko dla siebie, nie czując nic dla innych.

Dziś gdy myślę o tem, drżę z obawy, że Bóg kiedyś ciężko mnie może skarać za moje samolubstwo i brak serca.

Nasze listy się zmięły. W tej chwili wiesz już zapewne o wszystkich zdarzeniach, które przez ten czas zaszły tutaj. Wiesz przedewszystkiem o znalezieniu przez nas małej Kasi. Prawda, jakie to okropne, żeby taka dziecina nie miała matki, chodziła naga i była głodna? Na mnie uczyniło to takie wrażenie, iż odtąd zdawało mi się, że w każdej chacie chłopskiej musi być biedna, opuszczona sierota. Więc ile razy przechodziłyśmy później z Zosią albo z Ludwinią około wiejskiej chałupy, prosiłam je, aby tam wstąpić pod jakimkolwiek pozorem, a skrycie chciałam się przekonać, czy tam znów niema jakiego nieszczęśliwego dziecka.

W chatach przyjmowano nas zawsze chętnie, wieśniaczki rozmawiały z nami o rozmaitych sprawach i potrzebach swoich, o które je szczególnie Ludwinia pytywała. I wiesz Iziu, ja polubiłam serdecznie tych prostych a zacnych ludzi. Bó widzisz, niektórzy z nich są bardzo zapracowani i bardzo biedni, a przecież Chrystus przykazał kochać biednych i upośledzonych. Więc nie dosyć dosyć chodzić do kościoła, jeżeli nie wypełniamy przykazań Jego?..

Ah! gdybyś ty poznała Ludwinię, dopiero przekonałabyś się, co to jest być prawdziwie dobrą. Czy wiesz? że ja Zosię kocham całym sercem, ale Ludwinię uwielbiam poprostu. Gdyby ona była na mojem miejscu, gdyby miała do rozporządzenia środki, jakie ja mam, gdyby miała takiego zamożnego ojca jak mój, który mi nigdy niczego nie odmawia, ileby ona dobrego uczyniła. A ja co? Czy w życiu mojem jest cokolwiek bądź, coby mogło być dla mnie zasługą?

Ja tutaj dużo poznałam ludzi, którzy żyli i cierpieli z myślą, że służą ogółowi i gotowi byli życie poświęcić dla tej myśli. Czy ty to pojmujesz, kochana Iziu? Nasłuchiłam się wiele rzeczy pięknych i podniosłych, o których dotąd pojęcia nie miałam. I wstyd mi się zrobiło samej siebie, i czułam się strasznie upokorzona za mój egoizm i moją beuzyteczność.

Ale na przyszłość tego nie będzie. O! nie! Sama nie umiałabym wprowadzić nic dobrego uczynić, ale udam się po wskazówkę do pani R., która jest nawet naszą krewną. Jest to kobieta bardzo bogata, z pozoru jednak wzięłabyś ją za kogoś zupełnie nie znaczącego. W młodym wieku straciła męża i dwoje dzieci; od tej pory poświęciła się całą przysługą biednych, opuszczonych sierotek. Założyła szwalnię dla ubogich dziewcząt i codziennie po kilka godzin tam przepędza, ucząc je sama szyć i zacie dając nauki. Pod jej kierunkiem przekonana jestem, że dojdę najpewniej do upragnionego celu.

Ah Boże! tyle mam planów w głowie. Chciałabym też pracować i sama nad sobą. Przekonałam się teraz, że czytając wszystko, co mi się podobało, w głowie mam tylko chaos, a żadnych pożytecznych wiadomości. Zosia, która zajmuje się całym domem i nie tak wiele czytać może, posiada jednak gruntownie mnóstwo wiadomości. A cóż tu mówić o Ludwini, która jest wykształconą, jak mała która z nas. Nieraz, gdy obie z Zosią prowadzą rozmowę, aż przyjemnie postuchać!

Kończę, bo i tak pewnie znudziłam cię moim listem, kochana Iziu, chociaż ani w części nie wypowiedziałam tych wszystkich myśli, które zajmują mię obecnie. Jeszcze tylko jedna prośba, oto spał doszczętnie moje listy, które pisałam do ciebie w pierwszych dniach mojego pobytu na Polance, te wszystkie niemądre listy, do których teraz wstydzę się przyznać.

Całuję cię serdecznie

Tvoja Joasia.”

Właśnie Joasia składała list, by go włożyć do koperty, gdy za drzwiami odezwał się Janek:

— Panno Joanno, czy list gotowy? — zapytał.

— Już, już — odrzekła z pospiechem — jeszcze tylko adres.

— No, to dobrze, bo jak panna Joasia skończy, to niech przedziutko biegnie do sali, tam jest do pani ważny interes.

— Co za interes?

— Goście przyjechali.

— Goście? a czy Zosi tam niema?

— Kiedy to goście do pani.

— Do mnie? skąd?

— Czy ja wiem? I Janek uchyliwszy drzwi filuternie mrugał oczami.

Zaciekawiona Joasia pobiegła do salki. a usłyszawszy ożywioną rozmowę, dochodzącą przez drzwi zamknięte, przystanąła na chwilę, bo serce jej zaczęło bić jak młotem. Szybko przycisnęła kłankę, i o radości, obok doktora Bobrowicza stał pan jakiś, któremu dziewczę rzuciło się na szyję z radosnym okrzykiem:

— Ojczuś najdroższy!

Pan Mirski tulił jedynaczkę do piersi, nie mogąc od wzruszenia przemówić na razie ani słowa.

— Moja córuchna, moja jedyna, jakże doskonale, jak zdrowo mi wygląda! — wyrzekł nakoniec, spoglądając z lubością na córkę.

— Prawda doktorze? — dodał, zwracając się do doktora Bobrowicza.

— Właściwie powiedziawszy, kochany przyjacielu, zdrową panną Joanna była zawsze, tylko nigdy tak ładnie nie wyglądała jak obecnie.

— Cieszy mnie bardzo pochwała pana — rzekła, rumieniąc się Joasia — ale dawniej innego byłeś pan zdania, co do mego zdrowia.

— Ja? nigdy, jako żywo! — zaprzeczył doktor Bobrowicz.

— A ta dziewczyna na pół sparaliżowana, pamięta pan doktor?

Doktor Bobrowicz zaczął się śmiać dobrodusznie.

— Sądzę, że to niewinne kłamstwo Pan Bóg mi daruje za cenę tych żywych rumieńców i dobrego humoru pewnej pani — rzekł, zacierając z zadowoleniem ręce.

Panowie zabawili w Polance cały tydzień, poczem Joasia miała już wrócić z ojcem do Warszawy. Co prawda lato miało się ku schyłkowi, a uczniowie i pani — spieszyli do szkół. Kilka rodzin nawet już wyjechało, pozostali na wrzesień ci tylko, których dzieci nie potrzebowały jeszcze nauki, lub ucząc się w domu przy nauczycielkach, nie były zmuszone wracać wcześniej do miasta.

Teraz, skoro się wieść rozeszła o rychło mającym nastąpić wyjeździe Joasi, wszyscy żalowali tego serdecznie, nawet mały Romcio rozkładając rączki, opowiadał każdemu:

— Panna Joasia odjedzie, jaka szkoda!

Nareszcie w dzień oznaczony, wczesnym rankiem, aby nie spóźnić się na pociąg, Joasia gotową była do drogi.

Na ganku u państwa Skalskich, zgromadzili się wszyscy znajomi, aby pożegnać dziewczę. A jej tak ciężko, ach, jak ciężko było rozstawać się ze swymi przyjaciółmi. Po kilkakroć ze łzami w oczach ucałowała ręce pani Skalskiej, dziękując jej za gościnność, opiekę i za wszystko dobre, które w jej domu doznała.

Tymczasem zajechał powóz. Joasia raz jeszcze uściłaskała Zosię i Ludwinę, ucałowała malutką Kasię, która drepcząc, czepiała się jej sukni i wołała ze smutkiem: Panienska jedzie het! het!

Przyszłość sierotki była już zapewnioną. Pan Mirski bowiem złożył dla niej do kasy, w imieniu swej córki, całe sto rubli, książeczkę zaś oddał do przechowania matce Zosi. Również rubli sto złożył na kolonie dla biednych dzieci, jako dowód wdzięczności za bezinteresowną gościnność państwa Skalskich dla jego jedynaczki.

Tłumiąc łzy rozrzewnienia, wsiadła wreszcie Joasia z ojcem i doktorem Bobrowiczem do czekającego powozu.

Z ganku, gdzie wszyscy stali zgromadzeni, podniosły się okrzyki pożegnania:

— Bądź zdrowa, Joanko!

— Pamiętaj o nas!

— Pisuj często!

— Do widzenia! do widzenia! — wołało dziewczę. — Powróć do was niedługo!

— Tylko nie zwlekaj, dziewczeczko, bo możesz mnie już nie zastać — dał się słyszeć głos dziadunia.

Oczy Joasi zaszyły łzami, podniosła chusteczkę i zaczęła nią powiewać. Wkrótce powóz znikł z przed oczu goniących go wzrokiem przyjaciół.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do Redakcyi Wieczorów.

Edmund Jankowski. Dobre rady co do sadów, dla ziemian a głównie dla włościan.

Daniel Zgliński. Humor w Panu Tadeuszu. Szkic estetyczny.

Józef Grajnerf. Anegdota księcia Radziwiłła „Panie-Kochanku.”

Dr. Wł. Ołtuszewski. Piąty przyczynek do nauki o zбочениach mowy.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał II-gi dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Dzielny chłopiec przez Zofię Kowerską. — Ruta, legenda żmudzka przez Ludwikę Życką. — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza. — Dodatek: U cioci Polci (z ryc.) — Gołąbek Bożenny. — Królowa poziomek i paproci przez Wacława Sulimę. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitek. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

Otrzymaliśmy znów trójkąt (fig. 9) Nazwijmy górny róg *e* i zagnijmy brzeg *d, f* odwróćmy papier i zrobmy to samo

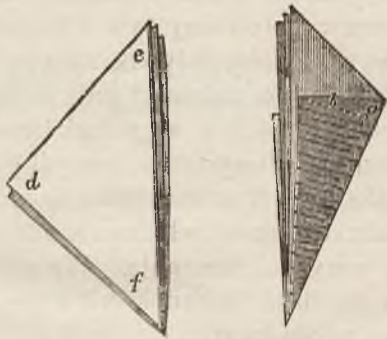


Fig. 9. fig. 10.

z drugiej strony (fig. 10). Teraz trzeba ścinać wierzchołek podług linii *a b* i ponacinać w paski raz z jednej strony, raz z drugiej, ale nigdy do samego końca (fig. 10).

— Może ciocia mi jeszcze raz powie jak się to nazywa, co teraz robimy — prosił Kazio.

Ciocia szepnęła mu coś do ucha a on zawołał:

— Więc to będzie siatka!

— Zdradziłaś tajemnicę—rzekła z wyrzutem Irenka.

Kazio zrobił taką nieszczęśliwą minę, a tamtych dwoje tak się śmiało z niego, że ciocia musiała przywołać ich do roboty.

— Rozłóżcie teraz ostrożnie papier, przytrzymajcie koniec jedną ręką, a drugą delikatnie pociągnijcie w górę i siatka gotowa (fig. 11).

— Można ją napełnić orzechami i zawiesić na choince.

Możecie także w ten sposób robić łańcuchy papierowe — rzekła ciocia. — Trzeba uciąć pasek papieru szeroki na 3 cale, a długi jak tylko można. Złóżcie go na pół wzdłuż, a potem zagnijcie napowrót oba brzegi tak, aby papier był złożony we



fig. 11.



fig. 12.

czworo i nacinajcie tak jak siatkę, raz z jednego brzegu raz z drugiego (fig. 12), poczem rozłóżcie go ostrożnie i rozciągnijcie fig. 13).

— I mamy bardzo piękny łańcuch — zawołała Zosia. Henryś zamyślił się poczem spytał nagle:

— Czy ciocia umie przejść przez bilet wizytowy?

Dzieci roześmiały się a ciocia Polcia zdziwiona, prosiła Henrysia, żeby ją nauczył tej sztuki, i dała mu swój bilet.

— Trochę mały — rzekł Henryś — ale może przesunę się przez niego.

— Panie i panowie — zaczął uroczyście — pokażę wam nadzwyczajną i zadziwiającą sztukę. Przesunę się cały przez ten oto mały bilet.

— To niepodobna, on tego nie zrobi — szeptały dzieci.

— Wyznaję, że nie rozumiem, jak to zrobisz — mówiła nawet ciocia Polcia.

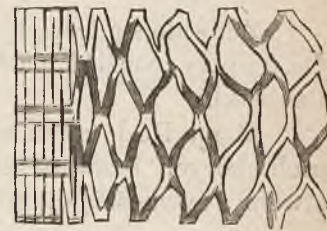


fig. 13.

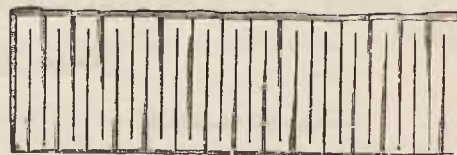


fig. 14.

Henryś złożył bilet w pół i zaczął go nacinać tak, jak przy robocie łańcucha papierowego (fig. 14), następnie



fig. 15.

rozłożył go na stole i przeciął środek od *a* do *b* uważając żeby nie przerwać ostatnich dwóch pasków z brzoza (fig. 15).

(d. c. n.)

CZUBATKA.

Wielka radość spotkała Dosię; dawna jej niania Wincentowa, przyniosła jej białą kurę, z czubkiem na głowie.

Dosia zajmowała się odtąd troskliwie Czubatką: przynosiła jej ziarenka zboża, resztki chleba, a wieczorem sama zapędzała ją do kurnika. Raz nawet przez szparkę zajrzała, czy jej kurka śpi na grzędzie.

Pewnego poranku okropnie się Czubatka rozgdakała w kurniku.

Przyszła na ten hałas Dosia, rozejrzała się dokoła i zobaczyła w kącie jajko, które przed chwilą zniosła jej kurka.

Niezmiernie się tem ucieszyła, obejrzała jajko na wszystkie strony, a potem zaniósła do kuchni prosząc, aby je ugotowano.

Zdawało się Dosi, że lepszego jajka nigdy nie jadła. Od tej pory codzień na śniadanie miała jajko od swojej Czubatki.

Mama Dosi często chodziła na wieś odwiedzać ubogich chorych i zawsze zabierała ze sobą koszyk z lekarstwami i żywnością dla nich, — i nieraz mówiła z żalem:

— Chorzy potrzebują posilnego pokarmu, ale ci biedacy nie mają na to.

— Proszę mamy — rzekła raz Dosia — czy mogę zanieść chorej wyrobniczy jajko mojej Czubatki? A to chyba dobry pokarm dla niej.

Mama na to bardzo chętnie przystała.

Dosia przez dni następne nie zjadała już lecz chowała jajka. Pewnego więc poranku ułożyła w koszyk pięć dużych jajek i razem z matką zaniósła chorej kobiecie. Cieszyła się przytem niezmiernie, że jak dorosła osoba może wspierać biednych.

Marya Weryho.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dokończenie).

Gdy stary sługa wyszedł na spotkanie przybyłych, pan Ostrobrodzki oznajmił, iż życzy sobie pomówić w ważnym interesie z państwem.

W obszernej, staroświeckiej komnacie, przyjęła nieznaną sobie gości kobieta lat średnich, w żałobne odziana szaty, z wyrazem głębokiego smutku na twarzy. Widok Stefana, który już wyrastał na słusznego młodzieńca, silnie ją zrazu zaniepokoił. Na zbladłe jej lica wystąpił żywy rumieniec, lecz prędko oczy zaszczyły łzami, a drżące usta szepnęły:

— To tylko złudzenie... to nie on...

Nie chcąc próżno narażać nieszczęśliwą kobietę na możliwy jeszcze zawód, pan Ostrobrodzki udał, iż przybywa w osobistym interesie, poszukując pewnych dokumentów rodowych, które ma nadzieję odnaleźć w jej papierach rodzinnych.

Gospodyni domu bardzo chętnie udzieliła mu żądanych wskazówek, przedstawiła potrzebne papiery i obznajmiła ze stosunkami familijnymi swego męża.

— Nie miałem szczęścia zastać w domu małżonka szlachetnej pani — rzekł przybyły.

— Mąż mój od dwóch już lat spoczywa snem wiecznym — objaśniła wdowa. — Samotna spędzam smutne me życie.

Siedzący na uboczu Stefan nie mógł powstrzymać stłumionego jęku, bowiem coraz większej nabierał pewnością, że znalazł się pod rodzinnym dachem, że patrzy wreszcie na ukochaną swą matkę. Jak mógł jednak,

panował nad sobą, stosując się do przyrzeczenia, jakie dał swemu opiekunowi.

— A czy dzieci nie są pociechą w smutnej doli pani? zapytał pan Ostrobrodzki.

— Niestety, nie mam dzieci!... — zawołała kobieta ze łzami.

— Czy nie miałaś ich nigdy pani, czy też Bóg je zabrał do chwały Swojej?

— Jakże bolesne wspomnienia przywołujesz pan tem zapytaniem — odrzekła. — Bóg mi dał rozkosz posiadania syna, lecz nie Bóg mi go odebrał, ale źli ludzie! I odtąd życie moje nie zaznało już żadnego szczęścia.

— Czyżby Tatarzy uprowadzili go w jasyr?

— Gorzej panie! Z rąk Tatarów jeszcze wykupiłby dziecko można; gotowiśmy byli z mężem złożyć cały majątek w ofierze, byleby jedynak nasz był nam zwrócony. Lecz porwała go z domu banda cyganów, właśnie, gdy nam wypadło do stolicy wyjechać. Dziesięć lat temu, a miał on wtenczas cztery latka; pomyśl pan jaką osłodą i pociechą byłby mi teraz w życiu! Czegośmy nie czynili, by go odszukać, nawet władza nie odmówiła nam pomocy swojej, wszystko daremnie. Wreszcie doszło nas pismo jakieś, że nasz Stefanek nie żyje — dokończyła wdowa, zalewając się łzami.

— Stefan twój żyje, mateczko droga! — zawołał chłopiec, padając do nóg ukochanej, i obejmując w serdecznym uścisku jej kolana.

— Co to jest, co to ma znaczyć? — pytała pod wpływem silnego wrażenia nieprzytomna prawie kobieta.

— Niechże się pani uspokoi — prosił, wzruszony również pan Ostrobrodzki. — Miłosierdzia Bożego to dzieło, że odnajdujesz teraz oplakane dziecko swoje. Oto medalik, który chłopiec zdołał ukryć przed chciwością cyganów, a który ci zapewne dobrze jest znany. Zresztą wszystkie wypadki zgadzają się i upewniają mię najmocniej, że Stefan jest rzeczywiście zaginionym synem pani.

— Wielki Boże! — zawołała kobieta, ująwszy w ręce medalik — rzeczywiście jest to pamiątka chrztu mego syna!

— I ona nam też była jedyną wskazówką w czynionych przez nas poszukiwaniach — objaśnił rycerz.

— Synu mój, drogi Stefanie!... — szeptała matka, tuląc w swych objęciach garnącego się ku niej chłopca. — O, co za szczęście! Jaki Bóg dobry! Jak zacni są ludzie którzy mi ciebie wracają!... Tak niezawodnie, ty jesteś naszym synem! Przypominasz mi twego ojca!

Nastąpiły długie chwile rzewnej radości i wzajemnie udzielanych sobie objaśnień, chwile bezgranicznego szczęścia, zakłóconego jedynie wspomnieniem, że ojciec Stefana nie dożył tej pociechy.

— Może on właśnie uprosił mi u Boga twój powrót, mówiła swym łagodnym, smutnym głosem wdowa — on zawsze dodawał mi siły, bronił od zwątpienia. I miał słuszność, bo dowodem łaski-Bożej jest opieka dobrych ludzi nad tobą, mój synu, i ostateczne zajęcie się twoim losem tego zacnego pana, któremu zawdzięczamy połączenie się nasze.

— Na opiekę dobrych ludzi syn pani postępowa- niem swoim zasłużył sobie; dzielny jest i szlachetny

posiada charakter, to też mam pewność, że będzie ci w życiu prawdziwą pociechą, prawdziwem błogosławieństwem nieba.

Pan Ostrobrodzki zabawił jeszcze czas jakiś w majątku wdowy, pomagając jej w urzędzeniu interesów tak, aby czyniąc zadość prośbom Stefana, mogła się przenieść w okolice zamieszkałe przez jego przyjaciół. Właśnie bowiem była tam niewielka posiadłość do nabycia, i Stefan nie rozdzielając się ze swą matką, żył długie lata szczęśliwy wśród tych, którzy w dniach niedoli nie odmówili mu serca i opieki, a których za pomocą małego gołąbka od straszego wyratował losu.

KRÓLOWA POZIOMEK I PAPROCI.

BAJKA CZARODZIEJSKA

przez *Wacława Sulimę.*

Dzban poziomek.

Na lesistym stoku góry stała mała chatka, w której mieszkał stary leśnik ze swoją rodziną. Rodzina ta składała się z żony, dwóch niedorosłych córek: Elżbietki i małej Jagusi, dużego syna Janka i dalekiej krewnej, siostrzyczki Halinki. Halinka miała włosy jak len, a oczy jak habry; dobra była i miła, lubił ją też wuj, któremu zawsze usłużyła w czem mogła, lubiła ją i ciotka, której Halinka starała się zawsze przypodobać, lubił ją i Janek za jej łagodność i uprzejmość. Tylko Elżbietka i Jagusia przekonać się do niej nie mogły i nieraz jej dokuczały, nazywając przybłądą i darmozjadem, powtarzając, że jest na łasce krewnych, bez których byłaby żebraczką i wymawiając jej, że rodziców do nich zniechęca, i że chciałyby sama pierwsze miejsce zająć.

Halinka nieraz gorzko płakała ale pokryjomu, bo wbrew niesłusznym zarzutom, nigdy się jednym słówkiem na nikogo nie poskarżyła, wszystko zносиła cierpliwie i starała się usilnie obie siostry przejednać. Pewnego razu, było to w czerwcu i słońce mocno dogrzewało, Jagusia rzekła do matki:

— Za parę dni przypada święto, pójdziemy wszyscy do kościoła, do miasta; niech nam mama pozwoli iść na poziomek; zbieramy pełne dzbanuszki, zaniemiemy do dworu i zarobimy sobie po parę złotych.

— I owszem — odpowiedziała matka — podobno poziomek jest dużo w tym roku; weźcie dzbanki i idźcie zaraz, tylko po zachodzie słońca długo się nie bawcie, bo las duży, a jak się ściemni, mogłybyście zabłądzić.

Dziewczęta pobiegły po dzbanki, Elżbietka i Jagusia zaraz sprzeczać się zaczęły.

— Ja wezmę te dwie pary dwojaków — wołała Elżbietka.

— Nie, nie dam ci — odpowiadała Jagusia — mam tylko dwie ręce, to trzech dzbanków nawet nie wezmę, a dwie pary dwojaków to znaczy cztery dzbanuszki.

— Rób sobie jak ci się podoba, ja ci dwojaków nie ustąpię.

Jagusia już się chciała rzucić na siostrę, aby jej dwojaki wyrwać, ale Halinka ją wstrzymała.

— Uspokój się Jagusiu — rzekła — i odstąp jej dwojaków, niedaleko stąd rośnie paproć, narwiemy jej, obwiemy dzbanuszki; związane razem, będą zupełnie jak dwie pary dwojaczek.

— Dobrze! — zawołała uradowana Jagusia.

Halinka pobiegła po paproć i bardzo zręcznie obwiła dzbanuszki. Dopiero teraz spostrzegły, że dla Halinki żadnego nie zostało.

— Mniejsza z tem — rzekła opryskliwie Elżbietka — przecież wszystkie dzbanki do nas należą i Halinka nie ma do nich prawa.

Ale Jagusi, która rada była z pomysłu Halinki, żal się zrobiło biedaczki i rzekła:

— Jest w sieni kamienny dzban, w którym stoi woda, wypróżnij go, weź i wracaj prędko, bośmy już dużo czasu straciły.

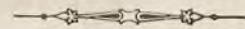
Halinka pobiegła i wróciła niebawem niosąc duży, ciężki dzban. Elżbietka widząc jak dźwiga go z trudnością, uśmiechnęła się złośliwie.

— Jeśli go cały napełnisz — rzekła — to więcej będziesz miała poziomek, niż my obie w naszych dwojaczkach.

Zaczęły iść spieszenie.

— Chciałabym znaleźć dużo poziomek — rzekła Elżbietka — sprzedałabym je drogo i kupiłabym sobie nowy, czarny aksamitny gorsecik, bo mój już spłowił i brzydki.

(d. c. n.)



Z A G A D K A .

przez Podkomorzego.

Ktoby o mnie nie wiedział zbliska czy zdaleka,
Bo dwojaki znaczenie mam dziś u człowieka;
Na rzekach i na morzach usługi oddaję,
Znają mię wszystkie ludy, mają wszystkie kraje.
Bywam jednak przemysłu i handlu siedliskiem,
Z tem samem niezmiennem zupełnie nazwiskiem,
Szukać go nie potrzeba, bo już dzisiaj słynie,
Imię jego u obcych, jak w własnej krainie.

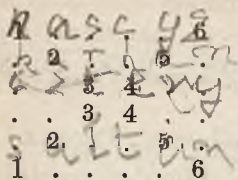
ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

przez A. W.

Ułożyć 11 wyrazów, którychby pierwsze i ostatnie litery złożyły imiona i nazwiska dwóch mecarzy i wojowników z r. 1683. Znaczenie wyrazów: 1) Owad pożyteczny. 2) Część świata. 3) Dopyływ Warty. 4) Imię biblijne. 5) Miasto w Galicyi. 6) Miasto na Kaukazie. 7) Gatunek lilii. 8) Rzeka w Małej Azji. 9) Ptak nocny. 10) Sultan, następca Mahometa. 11) Kraj w Austrii nad m. Adryatykiem. Sylaby: a — ba — bnik — cim — dwa — eu — i — i — je — ka — ku — ka — frat — lif — me — ner — o — ry — ra — ris — sa — świe — strya — wa — so.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

przez X. Y. Z.

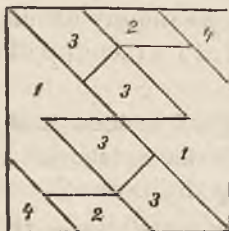


Kwiat wiosenny.
Dawna mogiła.
Liczba.
Liczba.
Władca na Wschodzie.
Rzeka w Azji.

Zastąpić liczby i kropki literami, aby litery oznaczone liczbami, krzyżując się, złożyły dwa razy imię męskie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 11.

Łamigłównki geometrycznej:



Zagadki: Pół — ka.

Wiersze przerobione z prozy.

Wyspy szczęśliwe, w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu i oku!
Gdy was przychodzić z gór Kolonny wita,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta,
I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
Tu szklanne morze cichego oblicze,
Na falach drobnych jak uśmiechu dolki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki
Strzegące brzegów, z którymi łagodnie
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.
(„Gaiur” 1/2 A. Mickiewicza).

Kwadratu magicznego:

L i r a
I r a n
R a c a
A n a m

Skrzynka do listów.

Szanownemu p. Win. Janowskiemu w Włodzimierzu, składamy najserdeczniejsze podziękowanie za wyrazy współczucia, jako też za urządzenie nabożeństwa za ś. p. Aleksandrę Borkowską, a za jego łaskawem pośrednictwem i tym wszystkim, którzy w tem nabożeństwie udział przyjmowali.

Bardzo nam przykro, że Kurka z Polesia tak długo na swój pierwszy list odpowiedzi oczekiwała, widocznie zaginął na poczcie, bośmy go wcale nie otrzymali, inaczej nie pozostałby bez odpowiedzi. Listy do Jaskółki do redukcji, naszej adresować trze-

ba. Po ukończeniu drukujących się obecnie powieści, rozpoczniemy inne, niemniej ciekawe. Rozwiązania dobre.

Irence Cz. za liścik tak ładnie i serdecznie napisany, bardzo dziękujemy, cieszymy się też, że „Wieczory” sprawiają wam miłą rozrywkę. Artykuł, o który zapytujesz, być może, że w krótkim czasie pomieścimy, ale z wielu względów obiecywać na pewno nie możemy. Początkowe numera dodatku wysyłamy; i prosimy o częste liściki.

Goląbek z nad Wisły zajął nas ciekawym opisem, jak dzień przepędza; od razu dokładnie zaznajomił nas z sobą, bo wiemy już teraz co porabia i czem się zajmuje. Zagadka zbyt już powszechnie znana. Ofiarę na Kolonie letnie otrzymaliśmy i dziękujemy za nią w imieniu kolonii.

Słoń z Nubii przysłał dobre rozwiązania. Zapytania historyczne zadajemy sami. Często bywa, że kilku czytelników przysłała łamigłównki na jednakowe tematy, a w takim razie jedna z nich tylko drukowaną być może. Rebusy muszą być starannie rysowane, bo się je przenosi na kliszę. Zagadka dowcipnie obmyślana, lecz dla czego temat taki smutny? Prosimy o większą uwagę w naklejaniu marek, bo musimy płacić karę na poczcie, gdy np. na liście miejskim zapieczętowanym znajduje się tylko jedno a nie trzykropiejkowa marka.

Chochlik ze Słarzyc, Stefan W. nadesłali bardzo dobre rozwiązania.

Choć się rzadko odzywasz, pamiętam cię dobrze **Wróżbiarko szczęścia** i chociaż nieznaną, znam cię dobrze. W roku zeszłym martwiliśmy się twoją chorobą i cieszyli powrotem do zdrowia. Za wyrazy serdecznego współczucia ślemy serdeczne „Bóg zapłać.” W smutku naszym to nietylko pociecha, ale i bodziec do dalszej pracy, takie dobre, pocziwe listy? Chciej więc i nadal pisywać do mnie, dzieląc się myślami swemi i wrażeniami. Kochana pani rozumiała cię sercem i uczuciem macierzyńskim, jakie dla was wszystkich miała, nas wiek zbliża ku sobie, a także zdaje mi się, że wspólnie cele i dążenia.

Przelotnej Płaszynie również za wyrażone współczucie wdzięczną jestem. Mam nadzieję, że nie poprzestając na tym jednym liście, stale do mnie pisywać będziesz, ja nietylko na to pozwalalam, ale zapewniam cię, że na każdy liścik odpiszę i każdego z przyjemnością oczekiwać będę. Rozwiązania dobre, o łamigłównki prosimy, bo nie wątpię, że się nadadzą do druku, jeżeli masz już wprawę w ich układaniu. Brakujące dodatki wysłano.

Za ślicznie napisany liścik **Mary Lud...** pozwalam sobie ucałować cię. Bardzo się ucieszyłam, żeś posłuchała mojej przyjacielskiej rady i z chęcią zaczął się przykładać do arytmetyki, a mam nadzieję, że geografii z wielkiem zajęciem uczyć się będziesz, bo geografia to jak podróż ciekawa, ukazuje nam coraz nowe kraje, a siedząc sobie spokojnie w szkolnym pokoju, przejeżdżamy tak szybko morza, góry, łądy i rzeki. Ale ja cię może niepotrzebnie zachęcam, bo z pewnością lepiej to uczyni towarzyszka twoja **Mania O.**, która właśnie pisze, że geografii nad inne przedmioty przekłada. Za dopisek twój Maniu wdzięczną jestem, nie wątpię, że polubisz czytanie i przyznasz wkrótce, że ciekawa książka to najpożądniejsza towarzyszka i jedna z najmilszych rozrywek.

Czarnuszcze i Bielaskowi ślicznie dziękuję, że bez niepotrzebnych tytułów napisali do mnie, tak jak zawsze o to proszę, bo nie jakąś poważną lub wiele szanowną osobą, pragnę być dla was kochani moi korespondenci, lecz tylko życzliwą i usługną przyjaciółką. Miło mi bardzo, że z ciekawością czytujecie „Wieczory” i każdego numeru oczekujecie z niecierpliwością. Rozwiązania dobre.

Miewam się bardzo dobrze, kochana **Zosiu Jok.**, jestem młoda, ale zawsze o wiele starsza od ciebie. Szaradę rozwiązałaś dobrze.

Jankowi N. dziękuję za pamięć i nawzajem pozdrawia go serdecznie

Jaskółka.